

Bardach, Juliusz

Z dziejów mentalności
feudalno-konserwatywnej : (w związku
z książką ks. Waleriana Meysztowicza,
Gawędy o czasach i ludziach, t. 1-2,
Londyn 1973-1974)

Przegląd Historyczny 68/1, 107-126

1977

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

JULIUSZ BARDACH

Z dziejów mentalności feudalno-konserwatywnej

(w związku z książką ks. Waleriana Meysztowicza, *Gawędy o czasach i ludziach* t. I: *Poszło z dymem*, t. II: *To co trwałe*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1973—1974, s. 325, 187)

I. ŹRÓDŁO DO HISTORII MENTALNOŚCI

Współczesna historiografia francuska rozwija z powodzeniem kierunek badań określany jako historia mentalności (*mentalité*). Obejmuje ona nie tylko dzieje umysłowości, ale również obszerny zakres zjawisk należących do dziedziny społecznej świadomości a stwarzających określony klimat ideowy, emocjonalny i intelektualny. W historiografii polskiej, jak dotąd, rzadkością są prace ujmujące przeszłość w tym aspekcie. Nie ze względu na brak materiałów. Dzieje nowożytne i najnowsze Polski z ich zróżnicowaniami społecznymi i narodowościowymi, z podziałami dzielnicowymi poddającymi ludność poszczególnych zaborów wielorakim oddziaływaniom mocarstw ościennych i ich kultur, ze świadomością społeczną i polityczną nacechowaną w znacznym stopniu *wishful thinking*, czyli — jak to nazywał Melchior Wańkowicz — „chciejstwem”, pozostającym w niezgodzie z „rzeczywistą rzeczywistością” (według określenia Kazimierza Bartla), nadają się doskonale i do tego rodzaju ujęć. Ich plastyczność może być zwielokrotniona przez diachronię pomiędzy mentalnością tkwiącą nieraz — w większej lub mniejszej mierze — w przeszłości a współczesnością, którą się ocenia z pozycji tej przeszłości.

Aspekt historii mentalności jest — sędzę — najbardziej właściwy przy ocenie dwóch tomów wydanych niedawno wspomnień księdza prałata Waleriana Meysztowicza. Są to — w odróżnieniu od klasycznego typu pamiętnika — „Gawędy o czasach i ludziach”, jak nazywał je autor, poświęcone ludziom mu bliskim lub postaciom wybitnym, z którymi miał okazję zetknąć się w czasie swego długiego życia. Razem tych sylwetek jest dziewięćdziesiąt. Element autobiograficzny występuje w kontekście tych relacji na dalszym planie, nie zaś jako podstawowy trzon wspomnień. W tytule autor wyeksponował element czasu. Są to opowieści o czasach minionych. Również o ludziach, którzy już zeszli z areny dziejów. W tomie I zatytułowanym „Poszło z dymem” jest przede wszystkim mowa o ziemiaństwie a zwłaszcza o jego elicie majątkowej i rodowej — grupie społecznej, z którą autor czuje się solidarny, której pamięć pragnie uwiecznić. Jej ustąpienie ze sceny dziejowej odczuwa boleśnie, choć zdaje sobie sprawę, że jest to odejście bezpowrotne. Tłumaczy to pesymizm tytułu tomu pierwszego stanowiący trawestację tytułu głośnej powieści Margaret Mitchell.

Nic jednak nie przemija bez śladu. I tak jak w życiu współczesnych stanów południowych A. P. występują elementy mentalności konfede-

ratów, tak pozostałości postaw zrodzonych w środowisku arystokracji ziemiańskiej dają znać o sobie w zgoła nieoczekiwanych kontekstach. Wystarczy przypomnieć opublikowany przed paru laty w „Polityce” esej „Mitra pod kapeluszem” i żywą wokół niego polemikę, o której ktoś powiedział, że stanowi w istocie dalszy ciąg walki średniej szlachty z magnaterią.

Tom drugi o bardziej programowym tytule („To co trwałe”) obejmuje trzydzieści sylwetek, głównie reprezentantów hierarchii duchownej z sześciu kolejnymi papieżami — od Leona XIII do Jana XXIII — na czele, kilka czołowych postaci emigracyjnych, paru dyplomatów polskich i obcych w Rzymie oraz wspomnienia o kilku osobach autorowi bliskich.

Dla zrozumienia klimatu omawianych wspomnień trzeba przypomnieć — choćby najkrócej — postać ich autora. Był synem Aleksandra Meysztowicza — dziedzica rozległych włości z centrum w Pojościu, wiceprzewodniczącego zgromadzenia szlachty guberni kowieńskiej, w okresie 1906—1917 członka petersburskiej Rady Państwa, w latach Litwy Środkowej prezesa Komisji Rządzącej czyli — jak pisze autor — „suwerena” tego efemerycznego tworu, potem prezesa Wileńskiego Banku Ziemskiego, ministra sprawiedliwości w rządzie J. Piłsudskiego (od 2 października 1926 r.), gdzie wraz z Karolem Niezabytowskim reprezentował konserwatystów. Aleksander Meysztowicz był czołową postacią grupy, którą w okresie międzywojennym określano mianem „żubrów wileńskich”. Określenie to akcentowało, że jest to gatunek ginący, ale jednocześnie pozostający pod szczególną ochroną. Zaznaczała się ona zwłaszcza w dobie rządów pomajowych, którym też grupa „żubrów” udzielała swego poparcia. To sprzężenie zwrotne grało w gruncie rzeczy aż do końca II Rzeczypospolitej.

Walerian Meysztowicz kształtował się pod przemożnym wpływem osobowości i mentalności ojca. Ta mentalność i związana z nią sfera idei społeczno-politycznych sięgała czasów Rzeczypospolitej szlachecko-magnackiej¹. Ideą politycznym była Rzeczpospolita obojga narodów, którą W. Meysztowicz gotów jest rozszerzyć na Rzeczpospolitą trojga narodów obejmując nią również i Ukraińców.

Jeśli byt polityczny dawnej Rzeczypospolitej w młodości Waleriana Meysztowicza należał do przeszłości, to inaczej rzecz miała się z ustrojem społecznym. Tu elementy przeszłości były wciąż żywe. Stały się one punktem wyjścia obrazu stosunków społecznych, które pamiętnikarz przedstawia jako pewnego rodzaju „typ idealny”.

Spółczesność Litwy historycznej, ściślej jej części zachodniej, w latach przed I wojną światową — jak pisze W. Meysztowicz — mówiło różnymi językami, ale jednocześnie było homogeniczne, bo połączone z jednej strony więzią pionową w postaci uświęconej tradycją hierarchii społecznej, z drugiej wspólną religią, która stanowiła więź tym silniejszą, że przeciwstawiała jej wyznawców: Polaków, Litwinów, Białorusinów — katolików, odmiennemu wyznaniowo zaborcy. Panująca w tym społeczeństwie hierarchia była — w przekonaniu autora — wyraźna i niepodważalna. Czołowe miejsce zajmowali panowie — członkowie wielkich rodzin, które określa mianem „rodów senatorskich”. „Warstwa

¹ Por. Cz. Miłosz, *Stereotyp u Conrada* [w:] *Conrad żywy*, Londyn 1957, s. 93, który pisał: „U szlachcica kresowego wyraźniej niż u innych występowały zasadnicze leitmotywy polskiej — — uczuciowości politycznej, sięgające czasów dawnej Rzeczypospolitej”.

panów — napisze — dziedziczy po senatorach Rzeczypospolitej prawo i obowiązek do rządów Wielkim Księstwem Litewskim" (I, s. 117). Najchętniej używa tu autor określenia „panowie”, bo jest to słownictwo historyczne Wielkiego Księstwa („panowie rada”). Niechętny jest terminowi „arystokracja”, bo nie godzi się on z zasadą równości szlacheckiej. Teoretycznej zresztą, bo w praktyce służy ona W. Meysztowiczowi dla uzasadnienia przewodnictwa „panów” (czy „rodów senator-skich”) nad szlacheckim ogółem. Do rodów tych należało naturalne przewodnictwo zarówno w stosunku do szlachty jak i niższych warstw społecznych. Członkowie tych rodów byli też predestynowani — jeśli wybierali karierę duchowną — do przewodnictwa hierarchii kościelnej. Przedstawiając talent administracyjny kardynała Adama Sapiehy wyjaśnia jego podłoże w słowach: „To szczególne uzdolnienie wyrabia się przy gospodarowaniu na dużych obszarach: posiadał je w Wilnie biskup Ropp; jest to cecha rzadka, stosunkowo częściej spotykana u wielkich rodzin” (II, s. 85).

Kolejny szczebel hierarchii społecznej to szlachta, przede wszystkim folwarczna. Poza tą grupą jest jeszcze rzesza drobnej, często nie posiadającej, szlachty. Z niej to rekrutowali się dzierżawcy, administracja dóbr pańskich, wreszcie służba obsługująca bezpośrednio „panów” jak pokojowe czy kucharz, którym u Meysztowiczów był Aleksander Rymkiewicz.

Dalej już byli chłopci. Postawę W. Meysztowicza wobec ludu wiejskiego cechuje paternalizm odwołujący się do feudalnej przeszłości, jako do wieku złotego. W szkicu o starym oficjale Szukisie pisze, że „był on integralną częścią dworu, razem z tymi kilkoma setkami rodzin [chłopskich] — — z całą ludnością tych kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych dorzecza Josty, którym z woli wielkich książąt przewodzili panowie [Meysztowiczowie — przyp. JB]. Był on jak wszyscy związany z tymi panami w jedną całość solidarną i zwartą — —. Taki był ustrój. Dawał on zapewne pole do nadużyć; ale w Pojościu pamięć ludzka nie zachowała żadnej krzywdy wyrządzonej przez panów włości — ani odwrotnie, włość nigdy panów nie skrzywdziła ani nie zawiodła. Zmiany, uwłaszczenie wiosek, potem dalsze rozluźnienie więzi między dworem a wsią, mordercza dla dworu reforma rolna Republiki Litewskiej — — to wszystko przyszło później, z zewnątrz, wbrew woli dworu i wbrew woli włości” (I, s. 11).

W tym sielskim, wyidealizowanym kontekście panowie występowali jako przyrodzeni przewodnicy i opiekunowie wsi.

We wsiach mówiono po litewsku lub po białorusku. W Pojościu, na Kowieńszczyźnie językiem ludu był litewski. „Nie tylko znaliśmy oba języki — pisze W. Meysztowicz — ale byliśmy do obu przywiązani, naprawdę dwujęzyczni. I uważaliśmy tę dwujęzyczność za przywilej, za bogactwo, którego nie mieli koroniarze — —. Dumni byliśmy ze starożytności i piękna naszego litewskiego języka” (I, s. 129). Nim też posługiwano się w stosunkach z ludem. Autor aprobeuje równouprawnienie języka litewskiego z polskim jako języka kazań i pieśni kościelnych, krytycznie ustosunkowując się zarówno do nacjonalizmu litewskiego jak i do nacjonalistycznych haseł Narodowej Demokracji. Przeciwstawia im współzycie wszystkich grup etnicznych i wyznaniowych byłego W. Księstwa, oparte na zachowaniu tradycyjnego statusu społecznego.

Podstawową więzią pomiędzy dworem a wsią była więź religijna. Religijność była żywa w obu środowiskach, choć z czasem rozwój ru-

chów narodowych będzie nadawał jej różne i odmienne treści. Antidotum na to upatruje autor w łacinie — powszechnym i dominującym do II Soboru Watykańskiego języku Kościoła. Była nie tylko językiem liturgii, ale również mową, w której zostały sformułowane podstawowe zasady społeczne uświęcające tradycjonalistyczny status drogi sercu W. Meysztowicza. Stąd jego przekonanie, że „taki zespół wartości społecznych jak religia objawiona Żydom, mądrość grecka, rzymskie rozumienie sprawiedliwości i słuszności, gospodarka własnościowa — jest jedyny w swoim rodzaju i żadnego innego porównać z nim nie można — a kończy się naprawdę tam, gdzie kończy się łacina” (II, s. 60). Wynika z tego wniosek, że katolicyzm jest związany w szczególności ze śródziemnomorskim kręgiem kulturalnym. „Związek między kulturą europejską, grecko-rzymską a kościołem katolickim, choć nie jest konieczny dla każdego człowieka — napisze — jest jednak istotny dla narodów, innymi słowy, że nie daje się pozyskać dla Kościoła cały naród, jeżeli on nie przyjmie, przynajmniej w jakimś stopniu kultury grecko-rzymskiej”.

Uzasadnienie tego europocentryzmu wzbudzić może opory u racjonalistycznego czytelnika. Autor cytuje patriarchę Władysława Michała Zaleskiego, który opowiadał o swobodzie jaką mają w krajach pogańskich (w danym przypadku chodziło o Indie) złe duchy. Na marginesie zaś dodaje: „I dziś jeszcze w różnych ciemnogrodach uwierzono w nieistnienie duchów, szczególnie duchów złych. Są teologowie, rzekomo katolicy, którzy nawet w aniołów nie wierzą” (II, s. 64).

Tradycjonalistyczny europocentryzm reprezentowany przez W. Meysztowicza odbiega w sposób istotny od idei Kościoła powszechnego i pozostaje w sprzeczności z linią Kurii Rzymskiej realizowaną po II Soborze Watykańskim. Nie jest to — jak zobaczymy — jedyny punkt rozbieżności z posoborowym kościołem.

II. „BIAŁA MIĘDZYJARODÓWKA”

Ludwik Krzywicki — bystry obserwator stosunków na Litwie przełomu XIX/XX wieku zanotował, że „prócz nielicznych wyjątków, wpływy rosyjskie przesunęły się po powierzchni życia we dworach. W głębi dwór pozostawał polski a właściwie mocno katolicki — —. Polskość była tym skwapliwsza do biernego oporu, ile że utożsamiano ją z katolicyzmem”². Nie inaczej było w Pojościu i okolicznych dworach, jak wynika z pamiętników W. Meysztowicza.

Po kilku latach nauki domowej Aleksander Meysztowicz skierował swego syna na naukę do Liceum Aleksandryjskiego w Petersburgu założonego przez Aleksandra I a kształcącego przyszłą elitę władzy cesarstwa, analogicznie do wiedeńskiego Theresianum czy brytyjskiego Eton. Zgodnie z tym przeznaczeniem uczniowie starszych klas Liceum przechodzili pełny kurs prawa, które wykładali im profesorowie Uniwersytetu Petersburskiego, w tej liczbie znakomity teoretyk prawa, Leon Petrażycki „z ledwie zaznaczonym polskim pochodzeniem” (I, s. 149).

² L. Krzywicki, *Wspomnienia* t. I, Warszawa 1957, s. 339. I gdzie indziej: „Polszczyzna [po dworach] tętniła — — silnie, ale zazwyczaj lekliwa, jak gdyby swoją polskość uznawała za ciężkie przewinienie i dlatego wolała trzymać ją jako świętość domową dla siebie, bez energicznego popisywania się nią na zewnątrz” (s. 335).

Spośród Polaków do Liceum uczęszczali synowie rodzin arystokratycznych znanych z lojalizmu wobec caratu jak młodzi Grocholscy, Maciej Starzeński, Platerowie i kilku innych. Tłumacząc dlaczego ojciec oddał go do Liceum W. Meysztowicz stwierdza, że miało ono „sławę szkoły europejskiej, najbardziej zachodniej, bardzo pańskiej, gdzie atmosfera wówczas jeszcze istniejącej białej międzynarodówki chroniła chłopców polskich rodzin przed uciskiem narodowościowym” (I, s. 152 n.). Ta „biała międzynarodówka” znalazła wyraz m.in. w tym, że córka dyrektora Liceum, inflanckiego barona Wolffa von Stromersee, Marusia, wyszła za mąż za księcia De Lampedusa, późniejszego autora znanej i w polskim przekładzie powieści „Lampart”. Zarysowany w tej książce feudalny jeszcze obraz Sycylii drugiej połowy XIX w. ukazuje zdaniem W. Meysztowicza „jak bardzo społecznie jednolitą była jeszcze Europa i jak bardzo podobny tryb życia pędzili panowie na Sycylii czy na Litwie” (I, s. 142).

Świadomość przynależności do „białej międzynarodówki” na terenie Litwy znajdowała w szczególności wyraz w poczuciu solidarności między panami litewskimi a baronami inflanckimi, mimo że znaczna część tych ostatnich wyróżniała się w służbie caratu, a wyznaniowo należała do kościołów reformowanych. Przedstawiając tę solidarność na przykładzie sąsiadującej z jego rodzimym powiatem upickim Kurlandii, wspomina W. Meysztowicz rodzinę Kayserlingów, z którymi „jak ze wszystkimi baronami kurlandzkimi łączyły nas nie tylko wspomnienia dawnych inflanckich spraw, dawnego kurlandzkiego lenna Rzeczypospolitej” bo — jak przyznaje — „te wspomnienia niewielką grały rolę: łączyły nas, litewską szlachtę z kurlandzkim *Ritterschaftem* wspólny front: front osiadłych ziemian przeciw okupacyjnemu czynownikom” (I, s. 126). Rosyjskich urzędników nie lubili właściciele latyfundiów ani na Litwie ani w Inflantach. Nie przeszkadzało to im w wyborze kariery urzędniczej czy wojskowej w służbie cesarza Wszechrosji.

Żywa niechęć z domieszką lekceważenia i pogardy w stosunku do czynowników nie rozciągała się na najwyższe szczeble hierarchii Cesarstwa. Dowodem tego obiektywizm w zarysowanej przez W. Meysztowicza charakterystyce Stołypina, który zanim został ministrem spraw wewnętrznych a potem premierem, był przewodniczącym szlachty guberni kowieńskiej, gdy zastępcą był ojciec autora wspomnień. Zwraca też uwagę trafna ocena celów stołypinowskiej reformy agrarnej, która miała stworzyć dla caratu bazę masową w postaci warstwy zamożnego chłopstwa oraz reakcji biurokratyczno-arystokratycznej elity, która uznała to za zagrożenie swego monopolu jako społeczno-politycznego, oparcia rządów Romanowych. Odczuwa się nutę sympatii, gdy W. Meysztowicz prezentuje Mikołaja II — jak go chętnie nazywa — „małego pułkownika”. Charakteryzuje go jako „grzecznego i dobrego człowieka”. Przy przedstawieniu autora cesarzowi zdawał sobie sprawę — pisze — że „prześladowania mego narodu, kraju i kościoła nie są jego dziełem” (I, s. 174). Jednocześnie podnosi jednak, że Mikołaj II, „choć sam nie był krwiożerczy, ani knutowładny, był jednak carem” a znaczy to, „że był sługą tego o którym słusznie pisał Mickiewicz »Boga nieprzyjaciół stary«” (I, s. 178). Byłby więc car *ipso facto* sługą szatana. Sam jednak autor nieco wyżej pisze, że „żyjąc blisko piekła, trzeba było nieraz diabła w kumy prosić” (I, s. 172). To konformistyczne stanowisko przyjmował, kiedy „w szatańskiej służbie” pozostawali przedstawiciele wyższych warstw społecznych. W innym, rewolucyjnym kontekście

o żadnym porozumieniu nie ma mowy. Wówczas W. Meysztowicz widzi tylko Antychrysta, którego trzeba zwalczać wszelkimi dostępnymi środkami.

Pragmatyzm i konformizm stanowiły uzasadnienie — i usprawiedliwienie — ugodowej postawy „panów” wobec caratu. Zagadnienie to przedstawia autor szeroko akcentując, że na „panach” jako przewodnikach społeczeństwa na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa spoczywał obowiązek ratowania substancji najważniejszej dla bytu narodowego jaką jest ziemia. Również lojalizm, którego najbardziej jaskrawym wyrazem była obecność przeszło 60 przedstawicieli polskiej arystokracji i ziemiaństwa na uroczystości odsłonięcia w Wilnie pomnika inicjatorce rozbiorów Rzeczypospolitej — Katarzyny II 23 września 1904 r., znajduje usprawiedliwienie w oczach W. Meysztowicza. Próbuje on nawet postawić znak równania pomiędzy działalnością niepodległościową w postaci czynnej walki z caratem a posunięciami ugodowców wywodząc, że różnymi drogami obie zmierzały do tego samego celu — Niepodległości. Nacisk jaki kładzie na to tłumaczy się — sędzę — tym, że ojciec jego należał do czołowych lojalistów i był jednym z organizatorów udziału panów polskich w uroczystości odsłonięcia pomnika Katarzyny II. Udział ten spotkał się — jak wiadomo — z potępieniem opinii publicznej a do uczestników jego przyłgnęła ironiczna nazwa „kataryniarzy”.

Próba „wybielenia” polityki lojalistycznej przez W. Meysztowicza wywołała sprzeciw również w środowiskach emigracyjnych. Starszy o parę lat a pochodzący z tegoż powiatu co autor, należący ongiś do grupy tzw. demokratów wileńskich, a w okresie pomajowym redaktor bliskiego tzw. *Naprawie „Kuriera Wileńskiego”* Kazimierz Okulicz tak oto charakteryzuje środowisko, obronie którego W. Meysztowicz tyle wysiłku poświęca: „Należał [on] do warstwy zamożnej szlachty, która za pomocą uprawiania lojalizmu, stosunków z wyższymi organami władzy i łapówek, mogła zapewnić sobie większą swobodę w życiu domowym i towarzyskim. Ta sielska idylla zapadła mu widocznie w pamięci i sercu. Któż z synów pańskich i niepańskich nie marzył o tym, aby siła wyższa, jakaś burza dziejowa, nienaruszająca hierarchii społecznej i stanu posiadania uwolniła kraj od czynowników i przywórców mu przynależność do wolnej Rzeczypospolitej. Gdy jednak ksiądz Meysztowicz wprowadza do programu ugodowców w początkach XX wieku takie dążenia, wykazuje niezrozumienie świata swojej młodości — —. Aż do upadku carskiego reżymu i rozpadu całego Cesarstwa, przedstawiciele wielkiego ziemiaństwa na Litwie historycznej o niepodległości tego kraju, ewentualnie wspólnej z Polską, nie myśleli ani tymbardziej nie mówili. Podstawą ich stanowiska politycznego było równouprawnienie, zachowanie stanu posiadania i pozycji społecznej, oraz kultury polskiej — na użytek wewnętrzny”³.

Obala również Okulicz argument, że to obecność panów polskich pod pomnikiem Katarzyny spowodowała zmianę polityki caratu wobec Polaków na ziemiach północno-wschodnich, a w szczególności możliwość zakładania szkół polskich oraz ustępstwa wobec Kościoła Katolickiego. „Uchylenie praw wyjątkowych antypolskich na Litwie — pisze — nie miało z pomnikiem Katarzyny najlżejszego związku. Ten nowy kurs, który ksiądz Meysztowicz ufnie przypisuje aktowi lojalności »ka-

³ K. Okulicz, *Opowieści nobliwe i sentymtalne*, „Zeszyty Historyczne”, 1974, z. 28, s. 116.

taryniarzy» był skutkiem rosnącego nacisku ruchu rewolucyjnego i ogólnych reform w całym Cesarstwie”⁴.

Jak daleko posuwał się lojalizm owych „naturalnych przewodników” społeczeństwa po rewolucji 1905 r. świadczą wypowiedzi czołowych ugodowców z terenu Litwy historycznej, skłóconych zresztą ze sobą braci Ignacego Karola i Hipolita Korwin-Milewskich. Występując przed wyborami do IV Dumy i Rady Państwa tejże kadencji podkreślali oni swój lojalizm wobec dynastii Romanowych odcinając się jednocześnie od „niebezpiecznej” i „zgubnej” demokracji Królestwa.

Ignacy Karol postulował, by szlachta guberni północno-zachodnich złożyła nowy solenny akt lojalizmu, bo stoi przed nią dylemat „albo stanąć przy tronie Najjaśniejszego Pana, albo w szeregach demokracji polskiej — być albo nie być”. „Możemy między sobą mówić po polsku [—] — pisze dalej — ale nie możemy nie przejąć się absolutną wiarą prawdziwych Rosjan w cezaryzm i nietykalność Państwa Rosyjskiego, jeśli nie chcemy na zawsze w tym państwie być helotami bez praw”.

Lojalni — przewiduje I. K. Korwin-Milewski — otrzymają uprawnienia szlachty rosyjskiej. „Tym samym Rząd otworzy szeroko dla wielu z nas podwoje do kariery, po której kroczy dotąd tylko szlachta rdzennie rosyjska”. W zamian szlachta byłego Wielkiego Księstwa może ofiarować „skuteczną pomoc w walce przeciw rewolucji”. W walce tej „walczyłaby o własną egzystencję, *pro aris et focis*, a więc walczyłaby dobrze. Niechże nam Najjaśniejszy Pan da te równe prawa, o które prosimy, a obronić je potrafimy my sami, broniąc tym samym i całą monarchię”⁵.

Redaktor dziennika ugodowców „Kuriera Litewskiego”, członek Rady Państwa Hipolit Korwin-Milewski stwierdza z kolei, że „nie tylko najprostszy zdrowy rozsądek, ale też dwukrotne krwawe doświadczenie 31 i 63 roku dostatecznie dowodzą, iż na Litwie rola szlachty — — powinna pod karą śmierci, to jest zagłady, być tradycyjną rolą każdej arystokracji w każdym państwowym ustroju monarchicznym — to jest, że powinna cała szlachta stać bezwzględnie przy osobie tego monarchy, którego losy historyczne i boża wola jej nadały”⁶. Podkreśla on niechęć do Królestwa — „kraju zawodowych, tradycyjnych i systematycznych samobójstw politycznych”. Zdaniem Hipolita Korwin-Milewskiego należy „wyrzec się stanowczo wszelkiej solidarności z przedstawicielami Królestwa Polskiego, gdyż taka solidarność w przeszłości przynosiła nam tylko klęski, a w przyszłości z powodu zasadniczej rozbieżności interesów, nic dobrego rokować nie może”⁷.

Wystarczy tych paru wypowiedzi, by uzyskać obraz daleko odbiegający od idealizującej tendencji pamięci W. Meysztowicza.

⁴ Tamże, s. 110.

⁵ I. K. Korwin-Milewski, *Do czego ma dążyć szlachta litewska*, Wilno 1911, s. 15 nn.

⁶ H. Korwin-Milewski, *Głos szlachcica o wyborach posła do Rady Państwa*, Warszawa 1911, s. 4.

⁷ Tamże, s. 12 n.

III. WOJNA 1919—20 R. I TRAKTAT RYSKI

Młody oficer armii carskiej W. Meysztowicz znalazł się niespodziewanie w obliczu krachu świata, w którym wzrósł i który — z zastrzeżeniami oczywiście — akceptował. Sytuacja jego i reakcje w tym czasie zbliżone są do pozycji hrabiego Leona Broel-Platera — Infantczyka, który wyrósł w polskich tradycjach patriotycznych, ale którego stryj był wielkim ochmistrzem dworu cesarskiego a jego syn, więc stryjeczny brat Leona, Jerzy — pułkownikiem kawalergardów. Sam Leon Broel-Plater był również oficerem armii carskiej, z której przeszedł do Wojska Polskiego a po wojnie wybrał również karierę duchowną. Jego niedawno opublikowane wspomnienia⁸ ze względu na zbieżność z pamiętnikiem W. Meysztowicza zasługują — sędzę — w niektórych punktach na zestawienie w tym miejscu.

Obaj pamiętnikarze mocno tkwili korzeniami w przedkapitalistycznym jeszcze społeczeństwie. Obaj wywodzili się z arystokracji złączonej licznymi więzami z najwyższymi kołami Petersburga. Dla obu rewolucja oznaczała katastrofę ich świata, a walka z siłami rewolucyjnymi narzucała się jako bezpośredni i naturalny niejako obowiązek. W. Meysztowicz dał barwny opis tego — jak to nazywa — ostatniego pospolitego ruszenia „paniczów” i młodzieży szlacheckiej w obronie wartości i tradycji dawnej Rzeczypospolitej. Ze zwerbowanym przez siebie oddziałem dołączył do formacji tworzonej w Wilnie przez Jerzego Dąmbrowskiego, oficera kawalerii armii rosyjskiej, pochodzenia polskiego. Na bazie oddziału ochotniczego, który wraz z bratem utworzył Jerzy Dąmbrowski, uformował się 13 pułk ułanów wileńskich. O oddziale Dąmbrowskiego oskarżający go dokument polskich władz wojskowych pisał, że jest „złożony z paniczów i rabusiów” (I, s. 222). Autor *implicite* uznaje tę ocenę, gdy pisze, że „rzeczywiście trudno było niektórych ułanów powstrzymać przed rabunkiem” i że Dąmbrowski ten stan rzeczy tolerował. W rezultacie musiał on opuścić pułk. Potem „znalazł się na czele jakichś nieregularnych formacji — przydatnych, ale właściwie niemożliwych do wzięcia przez przyzwite dowództwo. Doszły do nas wówczas jakieś echa zupełnie nieregulaminowych wyczynów grupy Dąmbrowskiego pod Mozyrzem. Trzynasty pułk ułanów wileńskich nie miał z nim — pisze W. Meysztowicz — nic wspólnego” (I, s. 221 n.). Autor usprawiedliwia jednak Dąmbrowskiego tym, że walczył w dobrej sprawie, bo „o realizację ideału politycznego Rzeczypospolitej obojga narodów. Stąd znaleźli się w jego oddziale panowie, szlachta i ze szlachty wyrosła inteligencja. Ci wszyscy, dla których unia lubelska nie była mitem ani marzeniem — była realną sprawą, o którą walczone”. (I, s. 220 n.).

Ocena Jerzego Dąmbrowskiego wyglądała zgoła inaczej w oczach niepodważanego o stronniczość świadka jakim jest K. Okulicz. „Łączył odwagę zabijaki z bezprawiem watażki” — pisze on o J. Dąmbrowskim. I dalej: „Walcząc z bolszewikami, rozciągał to określenie na ludność białoruską i żydowską, dopuszczając się względem niej czynów, za które został zdjęty z dowództwa i zszedł z widowni. Jego dowodzenie tym oddziałem więcej zrobiło szkody polskiemu wojsku w umysłach i pamięci miejscowej ludności, niż pożytku dla celów wojennych na Wschodzie. Że książd Meysztowicz tak lekko przechodzi nad tym rozdziałem swego

8 L. Broel-Plater, *Dookoła wspomnień*, Londyn b.d. [1971].

własnego życia, jest dla mnie niespodzianką” — taką pointą kończy swój wywód⁹.

Stanowiący zakończenie lat wojennych traktat ryski nie znajduje łaski w oczach W. Meysztowicza. „Pokój ryski — napisze — nie był dziełem Marszałka. Nie był też zawarty przez dyplomatów: ze strony polskiej zawierała go delegacja partii sejmowych, niezgodnych co do celu, jaki należało osiągnąć, nie zgrana, nie doświadczona” (I, s. 202). Nad delegacją polską — podkreśla — wyraźnie górował delegat radziecki Joffe. „Przygnębiające wrażenie robił minimalizm naszych żądań i dyktowana po części przez nacjonalizm łatwość wyrzekania się ziem wschodnich; wyciąłem miński wrzód — miał wówczas powiedzieć Grabski” (I, s. 275).

Podobnie, tyle że obszerniej, przedstawia zachowanie się reprezentantów RP w Rydze L. Broel-Plater, który pełnił wówczas funkcje oficera łącznikowego delegacji polskiej. W szczególności oburza go stanowisko przewodniczącego delegacji Jana Dąbskiego, który „miał się nawet podobno odezwać, że na cóż przydać się nam może Podole i Ukraina, wszak tam są tylko polscy obszarnicy. Argument godny ciemnego ludowca, stawiającego program partyjny ponad interes państwa”. Nie mówiąc już o Dąbskim, „który wołał skurczyć granice polskie na południowym wschodzie, byle pozbyć się obszarników [Feliks] Perl, socjalista, powiedział w mojej obecności, że Polska faktycznie kończy się na Bugu, a [Stanisław] Grabski wyraził się, że Mińsk jest nam niepotrzebny, są tam bowiem sami Żydzi”. W dalszym ciągu pamiętnikarz odnotował fakt, że podczas rokowań był obecny w Rydze pan Russanowski z Podola „nieurzędowy delegat ziemianstwa polskiego kresów południowo-wschodnich”, który zabiegał, by „włączono w granice Polski możliwie największe połączenie dalszych województw południowo-wschodnich. Nic jednak nie wskórał”¹⁰.

Nie razi natomiast L. Broel-Platera rozmowa ówczesnego ministra spraw zagranicznych Eustachego Sapiehy (współorganizatora zamachu stanu przeciw rządowi J. Moraczewskiego w styczniu 1919 r., potem przez pewien czas towarzysza broni W. Meysztowicza w oddziale J. Dąmbrowskiego) w czasie rokowań w Rydze z premierem W. Witosem, której był świadkiem. Oto relacja: „Rozmowę naszą przerwał telefon od premiera Witosy. Słyszałem jego podniecony głos. Sapieha słuchał spokojnie, przerywał tylko od czasu do czasu wywody premiera, mówiąc: »tak, tak panie Witos«, albo »dobrze, panie Witos«, wymawiając »panie Witos« z takim lekceważeniem i noszalancją, jak gdyby książę pan rozmawiał nie z szefem rządu, lecz ze swym ekonomem”¹¹.

Ten lekceważący stosunek dotyczył nie tylko chłopskiego męża stanu. Znamienne wobec przedstawicieli innych warstw poczucie wyższości, i to niezależnie od zajmowanego stanowiska, ukazuje zanotowana przez L. Broel-Platera rozmowa, jaką miał w sierpniu 1943 r. w Madrycie z byłym prezesem PCK w Hiszpanii księciem Augustem Czartoryskim. „»Co robi mój urzędnik Kukiel?« zapytał mnie pewnego razu [gen. Kukiel był przed wojną kustoszem Muzeum Czartoryskich w Krakowie].

⁹ K. Okulicz, op. cit., s. 120. Por. też W. Sukiennicki, *Czy poszło z dymem? Refleksje przy czytaniu wspomnień*, „Zeszyty Historyczne” 1974, z. 29, s. 208.

¹⁰ L. Broel-Plater, op. cit. s. 55.

¹¹ Tamże, s. 56.

Gdyby tak nasz minister obrony narodowej — dodaje pamiętnikarz — usłyszał jak go podporucznik Czartoryski nazwał protekcyjnie swoim urzędnikiem, może by ochłodził w zachwycie nad Familiją”¹².

IV. „ŻUBRY WILEŃSKIE” A JÓZEF PIŁSUDSKI

Osobne miejsce we wspomnieniach W. Meysztowicza zajmuje postać Józefa Piłsudskiego. Jak zwykle punktem wyjścia dla pamiętnikarza jest rodowód. Nie ma wątpliwości, że Piłsudski należy do *bene nati*. Po ojcu stara rodzina litewskich bojarów wielkoksiażących, matka z domu Billewiczówna. Warto tu przypomnieć relację adiutanta Naczelnego Wodza a zarazem pisarza M. B. Lepeckiego, który zanotował „zabawne zdarzenie” opowiedziane mu przez J. Piłsudskiego: „Było u nas w zwyczaju — mówił — że podczas wakacji ojciec wysyłał nas, chłopców, w odwiedziny do starego dziadka, Tomasza Billewicza, mieszkającego na Żmudzi — —. Otóż pewnego razu, po przyjeździe, zauważyłem, że dziadek jest bardzo nachmurzony i jakby zły. Wkrótce stan ten wyjaśnił się. Przestałem prenumerować „Słowo” — rzekł do mnie niespodzianie. Ponieważ wiedziałem, że była to stała lektura dziadka, więc zdziwiłem się i zapytałem dlaczego to zrobił. Teraz dziadek wyrzucił z siebie cały potok słów oburzenia na... Henryka Sienkiewicza i redakcję „Słowa” za to, że w drukowanym tam wówczas w odcinku „Potopie” wyraził się o Billewiczach jako o nie posiadających w rodzie senatorów. — Durnie! — irytował się starzec — jak mogli tak napisać. I począł wyliczać kasztelanów i starostów żmudzkich, koligatów i krewnych Billewiczowskich”¹³.

Problem senatorów w rodzie był istotnym nie tylko dla Tomasza Billewicza. Niewiele mniejsze znaczenie przypisuje mu i W. Meysztowicz. Zastanawia się jak się to stało, że „panicz z Zułowa” przystał do socjalistów. Nie bez złośliwości zauważa, że „nie łatwo było się wepchać do czerwonego tramwaju; był on mały i zapchany. Jechali nim liczni Rosjanie; liczni też byli Żydzi, właściwie nie było w nim miejsca dla paniczów” (I, s. 195). Dlaczego jednak wszedł — czy wepchnął się — Ziuk, a nie inni ziemiańscy synowie? Zdaniem autora dlatego, że ojciec J. Piłsudskiego postradał ojcowiznę, gdy pozostali „mieli jeszcze rolę społeczną do spełnienia — —. Nie wolno było narażać ziemi na konfiskatę, ludzi na pozbawienie naturalnego przywództwa. To był co najmniej jeden z tych względów, który powstrzymywał kolegów panicza z Zułowa od chwycenia z nim razem za bombę i browning — —. Katastrofa Zułowa zwolniła Piłsudskiego od jego odpowiedzialności za ten kawał ziemi i pozwoliła mu szukać niepodległości w otwartej walce zbrojnej z PPS”.

To tłumaczy — zdaniem autora — wzajemny stosunek Piłsudskiego i ziemiańskich ugodowców. „Wyszli — pisze — z tego samego założenia, szli do tego samego celu różnymi drogami. Ani oni nie uważali go za bandytę, burzącego ład społeczny ani on ich nie miał za zdrajców sprawy polskiej — —. Jedni walczyli zbrojnie, drudzy uzyskiwali deklaracje

¹² Tamże, s. 64.

¹³ M. B. Lepecki, *Od Sybiru do Belwederu*, Warszawa 1939, s. 7 n. Autor przypomina, że Sienkiewicz w *Potopie* napisał o Billewiczach, że był to ród „znany, lecz nigdy senatorskiej godności nie piastujący”.

monarchów i rządów — —. Na pewno jakieś znaczenie tu miało pochodzenie Piłsudskiego. Nie miał on oczywiście nigdy kompleksu wrogości wobec panów i magnatów — bo sam był z ich krwi” (I, s. 196—7). „Nigdy” to oczywiście nieprawda. Jak zauważył J. Rothschild nie należy zestawiać Piłsudskiego jako redaktora „Robotnika” z Piłsudskim — dyktatorem po maju 1926 roku. Różni to ludzie, kierujący się odmiennymi założeniami¹⁴. A oto jak w 1902 r. charakteryzował Piłsudski te sfery, o poparcie których będzie — skutecznie — zabiegał w ćwierć wieku później: „Niebotyczne tchórzostwo — — podle łaszenie i lizanie stóp wroga” oto cechy polityki polskich, litewskich i żydowskich klas posiadających. „Polacy w radach miejskich [Wilna, Kowna, Grodno] mają większość, a uchwalają — — oddanie ziemi miejskiej pod pomniki Murawiewów i Katarzyn — —. Spójrzmy na naszą szlachtę, drżącą przed lada stupajką, zarażoną ugodą i lokajstwem, chroniącą swe dzieci od zarazy buntu i zbierającą pieniądze na stypendia imienia gubernatorów i ministrów”¹⁵.

Po zamachu majowym skłócony ze stronnictwami szukał Piłsudski oparcia wśród konserwatystów „przedstawicieli rodów do których i sam Marszałek należał: porozumienie z nimi nie było trudne; ostatecznie toż to byli swoi — —. Zjazd w Nieświeżu był szczytowym przejawem zbliżenia pomiędzy nimi a Marszałkiem”. Według W. Meysztowicza Piłsudskiemu zależało na tym, aby tą drogą trafić do episkopatu, ale biskupi „nie ufali byłemu socjaliście”. Stąd w Nieświeżu znalazł się tylko autor, młody wówczas ksiądz — sekretarz arcybiskupa Jałbrzykowskiego, „nawet nie prałat, który — napisze nie bez dumy — i tak, z innych względów, mógł się na zamku radziwiłłowskim znaleźć” (I, s. 205). Meysztowicz opisuje swoją rozmowę z Piłsudskim przypisując jej — sędzę — znaczenie większe niż miała w rzeczywistości. Nie istniały trudności bezpośrednich kontaktów pomiędzy Marszałkiem a kardynałem Hlondem, raczej przychylnie nastawionym do reżimu pomajowego. Również i wileński arcybiskup Jałbrzykowski nie zajmował wobec rządów Piłsudskiego opozycyjnego stanowiska, jak wykazywała jego bliska współpraca z przedstawicielami administracji i wojska na ziemiach północno-wschodnich. Nie było potrzeby szukać drogi do episkopatu *via* Nieśwież, skoro umiano trafić bezpośrednio¹⁶. Ale któż z aktorów sceny politycznej wolny jest od przypisywania sobie roli większej niż odgrywał w rzeczywistości?

Podobnie jak J. Piłsudski i piłsudczycy W. Meysztowicz ma negatywny stosunek do partii politycznych. Ale teoretyczne uzasadnienie w tej materii czerpie on z nauk swego profesora w cesarskim Liceum Aleksandryjskim, według którego partie polityczne są to „grupy pozaprawne, które będą dążyć do objęcia władzy i będą skłonne do przemienienia się w spiski o celach przestępczych” (I, s. 287 n.). Ta absolutystyczna doktryna pozwala mu potępić „partyjnictwo” winne krytyki Naczelnego Wodza. „Od obrony wodza przed partyjnictwem — dodaje jednak — prosta droga prowadziła nas wszystkich mimo woli do dyktatorializmu” (s. 288). Konstatacja tego faktu, pewne zdystansowanie się,

¹⁴ J. Rothschild, *Piłsudski's coup d'état*, Nowy York 1966.

¹⁵ J. Piłsudski, *O patriotyzmie*, druk. w piśmie „Walka” 1902, [w:] *Pisma zbiorowe* t. II, Warszawa 1937, s. 26.

¹⁶ O zjeździe w Nieświeżu zob. J. Jaruzelski, *Mackiewicz i konserwatyści*, Warszawa 1976, s. 120 n., gdzie też krytyczna ocena wiarygodności relacji W. Meysztowicza o jego roli (s. 122 n.).

nie rodzi zahamowań w stosunku do dyktatury jako formy ustrojowej. Lata wielkiego kryzysu gospodarczego i Polski pod rządami „pułkowników” po Brześciu w oczach W. Meysztowicza „to okres po 1930 roku, okres spokoju, pracy, rozwoju, nadziei” (I, s. 116).

Pozytywny w zasadzie stosunek do fenomenu dyktatury znajduje — dodajmy tu — wyraz w ocenie Mussoliniego. W przeciwieństwie do Hitlera postać to nieledwie sympatyczna. Nawet rola sojusznika Niemiec w II wojnie światowej znajduje — dosyć karkołomną — próbę usprawiedliwienia. „W r. 1940 Włochy przystąpiły do wojny po stronie Hitlera — napisze W. Meysztowicz — zapewne między innymi z tego powodu, że Mussolini wolał mieć we Włoszech okupację aliancką niż hitlerowską” (II, s. 40). Ani słowa o działalności Mussoliniego po wyłączeniu alianców na półwyspie Apenińskim, która jak wykazuje m.in. epizod „socjalnej republiki Salo” była tej tezy całkowitym zaprzeczeniem.

V. STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ

Kolegą Meysztowicza w 13 pułku ułanów był Stanisław Cat-Mackiewicz. Już po wojnie obu przyjaciół rozdzieliła decyzja powrotu Mackiewicza do kraju. Ze strony Mackiewicza spór przybierał nawet formę publicznej napaści w prasie emigracyjnej. Była ona bezpośrednim rezultatem odmowy W. Meysztowicza spotkania z nim na południu Francji, gdy Mackiewicz, który przebywał tam na leczeniu, zachorował ciężko i wezwał telegraficznie byłego towarzysza broni do łóża boleści. Zrozumiałe, że i Meysztowicz nie żywi do pamięci swego dawnego przyjaciela pietyzmu, choć stara się — w swoim przekonaniu — o wyważoną ocenę. Rola Cat-Mackiewicza w dziejach polskiej publicystyki i zainteresowanie jakie budzi jego kontrowersyjna postać, uzasadnia — sądzę — nieco bliższe nią zajęcie. „Mackiewicz — pisze Meysztowicz — był szlachcicem, mało tego, był do swego szlachectwa bardzo przywiązany; dawało mu ono poczucie równości wojewodom. Był nieprzejednanie antybolszewicki — —. Zapewniał nas o swym katolicyzmie. Stąd jego pseudonim „Cat” (potem najrozszaściej wykładany)” (I, s. 298). Czy rzeczywiście pseudonim Mackiewicza stanowił skrót wyrazu *catolicus*? U politycznego publicysty, dla którego kwestie religijne były zawsze podporządkowane wymogom polityki, wybór taki byłby niezrozumiały. Należy też przypomnieć — co podkreśla W. Meysztowicz — że Mackiewiczowi „zdarzały się wybryki, nieraz antykościelne” (I, s. 230). Pseudonim Cat nawiązywał — o ile pamiętam — do owego kota R. Kiplinga, który chodził własnymi drogami, podkreślając samodzielność i niezależność poglądów redaktora „Słowa”, któremu na takiej opinii bardzo zależało.

Relacja W. Meysztowicza o powstaniu dziennika „Słowo” wzbogaca naszą wiedzę o historii prasy — i nie tylko prasy — w II Rzeczypospolitej. Gdy panowie wileńscy postanowili wznowić wydawanie w powojennym Wilnie własnego pisma, W. Meysztowicz wraz z Janem Tyszkiewiczem zaproponowali kandydaturę Mackiewicza na redaktora. „Starszym panom spodobał się. Trzeba będzie go krótko trzymać — mówił mój ojciec — jest żywy i bardzo, może zanadto, inteligentny. Z tym trzymaniem — dodaje — nie było potem łatwo” (I, s. 288). Finansowa zależność „Słowa” od Wileńskiego Banku Ziemskiego, na czele którego stał ojciec autora, przejawiała się w postaci całostronicowych insera-

tów Banku, które stanowiły formę subwencji i uzasadniały polityczną kontrolę grupy „żubrów wileńskich” nad pismem. Oczywiście — pisze — „kontrola nad redakcją wykonywana była po ludzku uważnie, a z szacunkiem dla przekonań redaktora i autorów — ale kontrola nad tym co Mackiewicz robi w »Słowie« była, i była zapewne pożyteczna, nie pozwalając bujnemu wichrowi rozhasać się i rozpętać po bezkresach samowoli — —. Mój ojciec wiele razy chciał się go pozbyć — chodziliśmy z Tyszkiewiczem ratować Stasia — —. Obiecywał poprawę. I w końcu zostawał” (I, s. 230). Poparcie Tyszkiewicza, dziedzica Waki, Wołożyna i Knyszyna znajdowało wyraz również w bezpośrednim subsydiowaniu „Słowa”¹⁷. Stąd uwaga Meysztowicza, że piszący o Mackiewiczu przesadnie podkreślają jego niezależność. Uwaga cenna tym bardziej, że pozwala na wyciągnięcie wniosku, że program Mackiewicza współdziałania z Niemcami hitlerowskimi w ekspansji wschodniej był programem nie tylko redaktora „Słowa”.

VI. PAPIEŻE I KARDYNAŁOWIE

Szkice poświęcone papieżom ze względu na pozycję autora, najpierw radcy kanonicznego Ambasady RP przy Watykanie, potem prałata Kurii, należą do najciekawszych. W. Meysztowicz nie cofa się — mimo należnej rewerencji — przed krytyczną oceną kolejnych *pontifices maximi*. Stąd ich walor dla poznania stosunku autora, a może i szerzej, części wyższego duchowieństwa polskiego do Kurii rzymskiej i jej przemian poczynawszy od schyłku ubiegłego stulecia.

Pisząc o papieżu Piusie XI, gdy jeszcze jako monsignor Achilles Ratti był pierwszym nuncjuszem Watykanu w Polsce Odrodzonej, poświęca sporo uwagi jego stanowisku w sprawie Śląska, kiedy to nuncjusz — jak pisze — „pod naciskiem kardynała sekretarza stanu poparł stanowisko [wrocławskiego] kardynała Bertrama, który zakazał swoim księżom udziału w akcji plebiscytowej — —. Zakaz grał przeciw Polsce, gdyż duża ilość księży była narodowości polskiej. Klęskę plebiscytową przypisano w Warszawie w znacznej mierze nuncjuszowi, choć były i inne powody tego niepowodzenia: głosowanie odbyło się w chwili największego naporu bolszewików” (II, s. 21). Zawodzi tu autora pamięć, bowiem plebiscyt na Śląsku odbył się 20 marca 1921 roku, więc tuż po zawarciu traktatu ryskiego (18 marca 1921), a w pół roku po zawieszeniu broni na froncie wschodnim. Konflikt w sprawie Śląska miał zadecydować o opuszczeniu przez nuncjusza Warszawy bez odznaczenia. Order „Orła Białego” otrzymał kardynał Ratti tuż przed konklawe, z którego wyszedł jako papież Pius XI.

Znamienne jest stwierdzenie, że konkordat z Polską z 1925 r. Pius XI uważał za wzorowy. Autor tłumaczy przyczyny tej oceny: „Papież znał dobrze polskie warunki, nie chciał konkordatu na wyrost; nie chciał by były w nim zobowiązania, które by później trzeba było z trudem wyduszać. Dlatego m.in. pominięto w konkordacie tak trudną, odziedziczoną po zaborach, sprawę ustawy małżeńskiej” (II, s. 24).

¹⁷ Por. J. Jaruzelski, op. cit., s. 58 n., gdzie mowa o subsydiowaniu „Słowa” m.in. przez J. Tyszkiewicza. Nie wykorzystał natomiast Jaruzelski informacji zawartych w pamiętnikach W. Meysztowicza o subwencjonowaniu „Słowa” przez Wileński Bank Ziemski, reprezentatywną instytucję finansową ziemiaństwa kresów północno-wschodnich.

Jak stąd wynika Watykan był w zakresie prawa małżeńskiego bardziej skłonny do kompromisu niż duchowieństwo polskie, które rozpętało nagonkę przeciw projektowi Komisji Kodyfikacyjnej opracowywanemu w latach 1924—1929 pod kierunkiem prof. Karola Lutostańskiego, który to projekt przewidywał możliwość fakultatywnych ślubów cywilnych, zależnie od woli stron. W. Meysztowicz stwierdza, że z zasady konstytucji marcowej, że „Kościół rządzi się własnymi prawami” wynikało żądanie, „by kodeks prawa kanonicznego był jedynym źródłem małżeńskiego prawa w Polsce” (II, s. 117). Nie podejmując się oceny tej jawnie ekstensywnej interpretacji przepisu konstytucji, ogranicza się do zanotowania, że projekt prof. Lutostańskiego „został bezlitośnie skrytykowany w odczycie publicznym” jego profesora — i późniejszego wiceministra WRiOP — ks. B. Żongolłowicza. Warto dodać, że Komisję Kodyfikacyjną przedstawia on nieścisłe jako organizację prywatną, a projekt Lutostańskiego jako jego „prywatny projekt”¹⁸, może dlatego, by zdjąć ze swego ojca, który w latach 1927—1928 był ministrem sprawiedliwości, odium, że nie przeciwstawił się przygotowywanemu w podkomisji projektowi prawa małżeńskiego.

Gdy chodzi o sylwetkę Piusa XII (uprzednio kardynała sekretarza stanu Pacelli) osią wywodów W. Meysztowicza jest sprawa jego stosunku do Niemiec hitlerowskich. Stwierdzając, że oskarżenia o sympatie do hitleryzmu ciążyą dotąd na pamięci Piusa XII, autor przypomina, że w przeddzień wybuchu wojny papież wygłosił przemówienie nawołujące Polskę i Niemcy do wzajemnych ustępstw dla utrzymania pokoju. W praktyce taki apel — podkreśla — zwracał się przeciw zagrożonej napaDEM Polsce. Gdy W. Meysztowicz w miesiąc po wybuchu wojny, kiedy pośpieszył do swego pułku, powrócił do Watykanu, opowieść jego o okrucieństwach niemieckich została przyjęta jako *Greuelberichte* a Pius XII unikał z nim odtąd dalszych rozmów i spotkań. „Polacy w Rzymie — pisze — nie usłyszeli z ust papieża ani słowa potępiającego agresję hitlerowską”. Oceniając drogę jaką obrał Pius XII wobec hitlerowskiego ludobójstwa stwierdza, że papież odrzucił drogę otwartej walki wybierając kierunek „perswazji, w granicach ostrożnej rezerwy” (II, s. 42) albo — jak to określi dalej — „linię niedrażnienia bestii” (II, s. 55). Postawę tę tłumaczy tym, że miała ona na celu uratować Kurie, która byłaby zapewne rozpedzona, gdyby Pius XII „rozwścieczył Hitlera, a sam papież znalazłby się gdzieś za oceanem. Czy by mu pozwolono potem wrócić do Rzymu? — —. Tu już chodziło o coś więcej niż o Kurie” (II, s. 43). Mało przekonująca to argumentacja a i sam autor przedstawia ją z obowiązku lojalności, nie zaś z wewnętrznego przekonania. Potwierdza to jego uwaga, że kiedy bezpośrednio po wojnie Pius XII przyjął na audiencji księży — Polaków, byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, to „nie chciał słyszeć tego co mu mieli powiedzieć. Nie zdobył się na żadne dobre słowo dla nich” (II, s. 44). Jeszcze wcześniej, podczas audiencji dowództwa II Korpusu po bitwie

¹⁸ Ustawę o Komisji Kodyfikacyjnej uchwalił Sejm Ustawodawczy 3 czerwca 1919 r. a członków jej powoływał Naczelnik Państwa a potem Prezydent RP. Komisja nie podlegała ministrowi sprawiedliwości, który brał tylko udział w jej pracach i wносił przygotowane przez nią projekty praw do Sejmu. Ob. Z. Radwański, *Prawo cywilne i proces cywilny*, [w:] *Historia państwa i prawa Polski 1918—1939*, cz. II, Warszawa 1969, s. 149. O pracach nad kodyfikacją prawa małżeńskiego tamże, s. 158 n.

pod Monte Cassino W. Meysztowicz odnotował „wstrzemięzliwe, ostrożne zachowanie się papieża, któremu zawsze chodziło o to, by nie urazić Niemców” (II, s. 151). Zestawienie faktów jest jasne zwłaszcza w połączeniu z informacją o generale zakonu Jezuitów o. Włodzimierzu Ledóchowskim, że „był on też od początku — wbrew opinii wielu jezuitów niemieckich — stronnikiem jasnego, ostrego wystąpienia Piusa XII — — w sprawie Polaków i Żydów — —. Umarł zanim się okazało, że Pius XII nie przestanie się trzymać linii niedrażnienia bestii” (II, s. 55).

Sytuacja w Watykanie zmieniła się zasadniczo po elekcji kardynała Roncalli, który przybrał imię Jana XXIII. Ale nowy papież z innych powodów nie cieszy się zbyt dużą sympatią W. Meysztowicza. Zwraca uwagę, że podkreślał on świadomie swoje chłopskie pochodzenie, z czego niektórzy czynili mu „zarzut sztuczności, choć masom taki styl odpowiadał” (II, s. 49). Jednocześnie akcentuje, że Jan XXIII został papieżem dlatego jedynie, że arcybiskup Montini (obecny papież Paweł VI) nie posiadał jeszcze kapelusza kardynalskiego. Elekcja miała więc — biorąc pod uwagę podeszły wiek i nienajlepszy stan zdrowia nowego papieża — charakter wyboru *ad interim* (II, s. 47 n.). Jan XXIII — pisze — przejdzie do historii jako ten, który zwołał II Sobór Watykański. Ale kierunek wytknięty przez ten Sobór nie odpowiada autorowi. Podkreśla on niebezpieczeństwa „wynikające z tak ogromnego zebrania ludzi, wyposażonych w tak wielką władzę apostolską”, a dalej rozważa kwestię, czy decyzja zwołania Soboru płynęła z wielkiej odwagi czy ze starczej lekko-myślności. „Większość przyszłych historyków — pisze — będzie sądzić, że Jan XXIII nie posiadał danych potrzebnych do opanowania wielkich fal, które podczas Soboru powstały” (II, s. 50). O postawie pamiętnikarza świadczy opowieść, według której „umierający — — papież miał mówić: *chiudere, chiudere*. Rzucono się do okna. *No, no, il Concilio*” (II, s. 50). „Nikt nie wie, czy to prawda, czy wymysł” — dodaje, choć jest to oczywiście typowa anegdota o określonej tendencji. Jej relacjonowanie jako możliwego faktu jest znamienne dla postawy W. Meysztowicza wobec II Soboru Watykańskiego.

Sylwetki polskich ksiąząt Kościoła zdradzają również predylekcje autora. Kardynał August Hlond — Ślązak, plebejusz z pochodzenia nie cieszył się jego sympatią. „Wyczuwaliśmy w tym Ślązaku wiele obcości” — napisze (II, s. 72). Jego karierę przypisywał głównie wychowaniu we Włoszech przez OO. Salezjanów, których system wychowawczy potrafił „wydobyć z chłopców wszystkie ich talenty i wychować tak samo świetnie prymasa Polski, jak zawodowego kierowcę” (II, s. 68 n.). Pisząc o opuszczeniu Polski przez prymasa we wrześniu 1939 r. zanotował, że później sam Hlond uważał to za błąd, dodając, że „byli ludzie, którzy w tym czynie widzieli brak odwagi — —. Dziś już — napisze dalej — można zastanawiać się nad tym czy nie stało się lepiej, że w dramacie okupacji hitlerowskiej senio-rem i głową episkopatu polskiego był Sapieha” (II, s. 70 n.). Ostra to, choć nie *explicite* sformułowana krytyka kardynała Hlonda. Do metropolity (potem kardynała) Adama Stefana Sapiehy W. Meysztowicz ma zgoła odmienny stosunek. Zaczynając od pochodzenia z najstarszej linii sapieżyńskiej z Kodnia, jego funkcji czynnego szambelana w arystokratycznej Anticamera Pontifica, co utorowało mu drogę do godności biskupa krakowskiego, wszystko w nim — łącznie

z dumą i wybuchowością — znajduje aprobatę w oczach W. Meysztowicza. Akcentuje on odwagę Sapiehy w stosunkach z hitlerowskim okupantem a stara się możliwie pomniejszyć sprawę konfliktu związanego z samowolnym przeniesieniem zwłok J. Piłsudskiego z podziemi katedry na Wawelu do krypty pod wieżą Srebrnych Dzwonów. Przypisuje tę decyzję temu, że odwiedzający trumnę ze zwłokami Marszałka zakłócali porządek nabożeństw w katedrze, a artyści i — jak pisze — urzędaszy w ślimaczym tempie przygotowywali grób w jej podziemiach. Sapieha „czując się gospodarzem w swojej katedrze — nakazał pewnego dnia przeniesienie zwłok” bez uzgodnienia z rodziną i władzami państwowymi. Autor nie pochwała tego „faktu przekroczenia, jeżeli nie praw, to dobrych obyczajów protokółarnych” (II, s. 88 n.), zwraca uwagę, że nie godziło się tego robić bez porozumienia się z Prezydentem RP i rządem (II, s. 130), ale podkreśla jednocześnie, że „błędem byłoby uważać samowolne przeniesienie zwłok Marszałka za wyraz stanowiska Sapiehy do Piłsudskiego. Zbyt wiele było wspólnego między tymi potomkami bojarów wielkoksiążęcych” (II, s. 90). Fakty — jak wiadomo — nie potwierdzają tezy, że obce były temu motywy polityczne.

Tak więc i w dziedzinie spraw dotyczących ksiąząt kościoła fakty podane przez autora wymagają dodatkowej weryfikacji. Tak ma się rzecz również ze sprawą weta, które w 1903 r. złożył na konklawe biskup krakowski kardynał książę Puzyna w imieniu „jego cesarsko-apostolskiej mości” Franciszka Józefa przeciw wyborowi na papieża kardynała Rampolli. Na skutek tego weta, które stanowiło dawny przywilej cesarzy, wybór Rampolli uchylono i papieżem został kardynał Sarto — papież Pius X. W. Meysztowicz przedstawia rzecz tak, że Puzyna uczynił to dlatego, że kardynał Rampolla uchodził za kandydata „miłego Rosji” będąc w szczególności zwolennikiem dopuszczenia języka rosyjskiego do kościołów w zaborze rosyjskim (II, s. 81 n.). W istocie sprawa nie jest tak jasna. Znaczna część historyków jest zdania, że kardynał Puzyna wykonał tylko wolę cesarza, który nie chciał kardynała Rampolli. Cesarz widział w nim przyjaciela Francuzów, skłonnego na domiar do ułożenia *modus vivendi* z III Republiką. Dążenie do obrony dobrego imienia kardynała Puzyny („Kler, kapituła krakowska uważała jego czyn za hańbę na Kościele Polskim. Kardynał milczał” — II, s. 83) prowadzi do jednostronnego przedstawienia sprawy.

VII. ENDECY I ENDEKOIDZI

Konserwatysta z przekonania, był W. Meysztowicz przeciwnikiem nacjonalizmu reprezentowanego przez Narodową Demokrację. Stąd krytyczna ocena wpływów endecji na część duchowieństwa i hierarchii duchownej. W konfliktach polskiej hierarchii rzymsko-katolickiej z ukraińską grecko-katolicką (unicką) potrafi znaleźć część winy i po stronie polskiej. Jego predylekcje do *bene nati* ułatwiły mu obiektywne ustosunkowanie się do grecko-katolickiego metropolity Andrzeja hr. Szeptyckiego. Zajmuje też pełną życziwej tolerancji postawę wobec Żydów i staroobrzędowców wpisanych w kształt tradycyjnej społeczności Wielkiego Księstwa. Z tej tradycyjno-tolerancyjnej postawy wywodzi się też potępienie niszczenia cerkwi prawosławnych u schyłku

lat trzydziestych przez administrację cywilną i wojskową (KOP) za aprobatą części hierarchii rzymsko-katolickiej. Do Piłsudskiego zbliżał W. Meysztowicza federalizm, ten sam, który dyktował mu rezerwę może i niechęć, w stosunku do gen. Wł. Sikorskiego. Znajduje ona wyraz w pomijaniu, przemilczaniu postaci samego Sikorskiego i związanych z nim działaczy jak prof. S. Kot, gen. Kukiel i inni. Inaczej L. Broel-Plater, który swój stosunek do linii politycznej Sikorskiego manifestuje wychodząc z pozycji prawicowych środowisk emigracji. Pod datą 3 czerwca 1941 r. notuje on: „Coraz częściej w różnych enuncjacjach czy to Sikorskiego czy też innych obecnych naszych luminarzy słysząc głosy uznania, podziwu nawet dla ustroju demokratycznego. Głoszą oni wiernie — tezy Roosevelta i masonów, dla których demokracja oznacza panowanie kapitału i rządy anonimowych potęg. Demokracja stała się tabu, zastępuje im Boga”¹⁹.

To stanowisko, podobnie jak krytyczna a przyjęta jako wiarygodna ocena ppłk. Bogusławskiego (przez krótki czas adiutanta gen. Sikorskiego we Francji w 1939 r.) — według którego „Sikorski jest otoczony Żydami i masonami i wpływom ich ulega”²⁰, wynikały z faktu, że środowiska piłsudczykowskie z biegiem czasu coraz bardziej nasycały ideologią nacjonalistyczną reprezentowaną przez endecję i jej młodzieżowe pędy w postaci ONR. „Wówczas gdy ideologia narodowa szerzyła się nagminnie — pisze Wiktor Sukiennicki o latach trzydziestych — oddziaływując nawet na tych, co ją w zasadzie odrzucali, »ideologia Piłsudskiego« mimo wielokrotnych usiłowań nigdy nie została ostatecznie sformułowana i nie zdołała uzyskać równej co najmniej ideologii »narodowej« siły atrakcyjnej. Gromada jej wiernych wyznawców topniała, a jej przywódcy w ostatecznym rezultacie budowali z endeckich ścian pod belwederskim dachem państwo narodowe, nie mające wiele wspólnego z dawną Rzplitą”²¹.

VIII. POSTAWY, FAKTY, OCENY

Pamiętniki W. Meysztowicza odzwierciedlają specjalny rodzaj pamięci: pamięć koligacji, posiadanych dóbr i rezydencji, wreszcie koni. Sporo miejsca poświęca wierzchowcom własnym i przyjaciół stanowiącym nieodłączną część drogiego autorowi ziemiańskiego stylu życia. Postawa autora ujawnia się w drobiazgach, jak podkreślanie z sympatią roli ceremoniału z jednoczesną pobłażliwością dla słabości ludzkich jeśli wiążą się one z odpowiednią pozycją społeczną. Tak dając sylwetkę byłego króla Hiszpanii Alfonsa XIII napisze: „Zawsze cieszyły mnie dostrzegane resztki hiszpańskiego protokołu dworskiego”, a to mimo, że „Alfons XIII miewał w Rzymie niezbyt szczęśliwe maniery chłopaka na wakacjach” (II, s. 140 n.). Ten eufemizm ma tłumaczyć dlaczego „królowa nie chciała spotykać się z mężem, który w Rzymie się bawił”. O księżnej Róży-Marii z Branickich Radziwiłłowej napisze: „O przygodach jej młodości mówiono tak wiele, że dziś ogólne wspomnienie o nich nie jest już obmową: rzeczy były zbyt ogólnie znane”, a w mankamentach osobistych jej męża spróbuje znaleźć „częściowe choćby

¹⁹ L. Broel-Plater, op. cit., s. 51.

²⁰ Tamże, s. 47.

²¹ W. Sukiennicki, op. cit., s. 209.

usprawiedliwienie na uleganie licznym pokusom. Była na nie wystawiona dodatkowo — doda — przez niezwykle wdzięk i urodę” (II, s. 144).

Inny, pełny dystansu jest stosunek do obcej mu tradycji demokratycznej, nawet wtedy, gdy dotyczy bliskich mu, zdawałoby się spraw nauki historycznej.

Rzuca na to znamienne światło *passus* w szkicu o stryjence Marii Meysztowiczowej. Było to w czasach kiedy W. Meysztowicz jako docent wykładał na Uniwersytecie Stefana Batorego. „Któregoś dnia — wspomina — po południu odwiedziłem stryjenkę. »Byłeś dziś na pogrzebie tego waszego profesora?« — spytała. Był to dzień kiedy uroczyste przywieziono do Wilna zwłoki Lelewela. »Miałem zajęcie w katedrze, nie mogłem«. »To dobrze — powiada stryjenka — ja go znałam. On chodził po Paryżu w niby robotniczej bluzie, jak bolszewik. Z markizem de Lafayette się przyjaźnił. Mój ojciec [Oskar Milewski — przyp. aut. JB] mówił, że to wielki uczony, ale i wielki łotr«. Szumiało jeszcze echo Hotelu Lambert” — dodaje autor (I, s. 92). Echa te były mu jednak bliskie. I dlatego zapewne na uroczystościach ku czci Lelewela świecił swoją nieobecnością.

W. Meysztowicz — docent Uniwersytetu w Wilnie, po wojnie inicjator i kierownik Instytutu Historycznego Polskiego w Rzymie (ściślej: przy Watykanie), autor monograficznej rozprawy „Dobra kościelne jako przedmiot uprawnień w prawie Wielkiego Księstwa Litewskiego” (1935), w latach wojennych wydawca „Repertorium Bibliografii dotyczącej Polski w Archiwum Watykańskim” (1943), opisu akt nuncjatury warszawskiej w tymże archiwum (1944), później wydawca wielotomowej serii źródeł historycznych „Elementa ad fontium editiones”, która na trwałe weszła do warsztatu naukowego polskiej nauki historycznej, redaktor „Antemurale”, niewiele miejsca poświęca sprawom nauki i ludziom z nią związanym. O wiele więcej pisze on o bliskich sercu *bene nati et possessionati*, o towarzyszach broni z wojny 1919—1920 roku, o ambasadzie RP przy Watykanie, nawet o profesorach seminarium duchownego niż o uczonych, z którymi stykał się w swoim długim życiu. Tym ostatnim w Watykanie, gdzie przebywa od ponad 40 lat, poświęcił tylko jedno wspomnienie zatytułowane „Watykan uczony: Mercati, Albareda, Peltzer etc.”. Zdaje się to wskazywać na kierunek osobistego zaangażowania autora. Jego aktywność na polu historii, z punktu widzenia trwałych wartości najbardziej istotna, nabiera w tym świetle charakteru działalności zastępczej, gdy wydarzenia dziejowe odsunęły go od działań na innych polach.

W działalności W. Meysztowicza jako kapłana a jednocześnie polityka szczególne miejsce zajmuje sprawa Henryka Dembińskiego. Był W. Meysztowicz kapłanem „Odrodzenia” w latach, gdy przewodniczącym tej akademickiej organizacji katolickiej był Dembiński i pozostawał pod osobistym urokiem młodego działacza: „słuchać go było prawdziwą radością” (I, s. 298). „Moim zadaniem — pisze — jako kapłana »Odrodzenia« było przeciwdziałać wpływowi komunistów i utrzymać odrodzeniowców przy Kościele” (I, s. 301). Przedstawiając proces radykalizacji Dembińskiego stwierdza — nieścisłe — że „za teoriami prezesa nie poszedł nikt z innych członków »Odrodzenia«, a skupili się wokół niego przyjaciele spoza tej organizacji (I, s. 303 n.). Gdy tzw. grupa Dembińskiego została oskarżona o działalność rewolucyjną „profesor Wyslouch (bardzo zresztą przeze mnie ceniony znawca dziejów prawa

litewskiego i szlachetny człowiek) — wspomina — chciał mnie namówić, bym użył swoich stosunków u prokuratora Przyłuskiego i u sędziów na korzyść grupy Dembińskiego. Nie zgodziłem się na to. Byłem przekonany, że — — Dembiński ze swoją grupą przeszedł na stronę wroga. Powiedziałem Wysłouchowi, że należy mieć zaufanie do naszych sądów. Zresztą oskarżonym groziły jakieś drobne miesiące więzienia” (I, s. 304). Tu kolejna nieścisłość, bo artykuły, z których byli oskarżeni, przewidywały karę więzienia do lat 15, a wyroki w sprawie Dembińskiego i towarzyszy oscylowały w granicach od 5 — 2 1/2 lat, o czym jest mowa w cytowanej obok książce Anny Jędrichowskiej, „Zygzakiem i Po prostu” (Warszawa 1965), gdzie sprawa rozłamu w „Odrodzeniu” i proces grupy są szczegółowo przedstawione.

Można sądzić, że jednym z powodów, które przyspieszyły wycofanie Meysztowicza z funkcji kapelana „Odrodzenia” i jego wyjazd do Rzymu, był brak wspólnego języka między nim a radykalizującą się młodą katolicką inteligencją. Bo też w domenie religijnej reprezentował on tradycjonalistyczną, aintelektualną postawę. Ekspozuje ją sam, gdy pisząc o kardynale — jezuitcie Billot, który „odznaczał się głębią i niezależnością poglądów” wyjaśni, że „zbliżał się podobno do tomizmu w formie dominikańskiej. Nigdy nie byłem zdolny tych odcieni odróżnić i pojąć” — dodaje (II, s. 76 n.). Gdzie indziej pisze, że jednostki reprezentujące poglądy nowatorskie w teologii winny być odsunięte od nauczania, bowiem „zbyt daleko posunięta wolność wykładu na wydziale teologicznym produkuje księży o pomieszanych poglądach teologicznych, niebezpiecznych dla wiary”. Wielokrotnie podkreśla też swoje preferencje dla tradycyjnego systemu nauczania teologii, tak jak „dla religijności ugruntowanej w tradycji, bez dramatycznych odejść i powrotów, dla wiary prostej jak wiara chłopca czy rybaka” (ze szkicu o Oskarze Haleckim, II, s. 173 n.).

Czy Meysztowicz zbyttnio zaufał pamięci czy winą był pośpiech, ale oba tomy wspomnień zawierają niemało błędów faktycznych. Poza wskazanymi wyżej i już wytkniętymi przez K. Okulicza dodajmy kilka innych. Nie ma więc racji autor gdy pisze, że „w dawnej Rzeczypospolitej biskup, nie wojewoda, był tym senatorem, który sprawował nad Żydami opiekę” (I, s. 265), jako że funkcję tę spełniał jednak wojewoda, który w praktyce mianował w tym celu własnego urzędnika zwanego podwojewodzim. O kościele gotyckim św. Anny w Wilnie, którego budowę rozpoczął Aleksander na przełomie XV i XVI w. czytamy: „Gotyck żył jeszcze — — na Litwie — — gdy już wszędzie, po Odrodzeniu, kwitł barok” (I, s. 243). Bartła zalicza do grupy „pułkowników” na równi ze Sławkiem (I, s. 206), mówi o obozach w Brześciu i Berezie Kartuskiej (I, s. 207), gdy był tylko jeden w Berezie, a w twierdzy w Brześciu mieściło się więzienie wojskowe, w którym we wrześniu 1930 r. umieszczono przywódców opozycji. Redaktorem endeckiego „Dziennika Wileńskiego” po Janie Obście „mianuje” Stanisława Cywińskiego (I, s. 299), gdy w rzeczywistości był nim Aleksander Zwierzyński. Nie jest to lista wyczerpująca.

Wspomnienia W. Meysztowicza ożywiają gorące przywiązanie dla stron ojczystych, uczucia do rodziców, zwłaszcza ojca, który pozostał dla niego wzorem, dla ludzi ze swego otoczenia. Sentymeny te, skądinąd sympatyczne, nie znajdują jednak przeciwwagi w myśli krytycznej, a idealizująca tendencja pamięci usuwa wszystkie cienie. Jednostronna, więc zawężona percepcja ogranicza pole postrzegania autora do *bene*

nati et possessionati. Jeśli czasem rozszerza się, to by dostrzec ich wierne sługi, których istnienie stanowi afirmację idealnego modelu pana.

Określenie „feudalno-konserwatywny” w tytule znajduje — jak wiadać — uzasadnienie w poglądach W. Meysztowicza. Konserwatyzm bowiem nie jest nurtem jednolitym politycznego myślenia i działania. Wspólne wszystkim niemal odmianom konserwatyzmu jest nawiązywanie do tradycji, akcentowanie roli religii w życiu społecznym i rodzinnym. Jednocześnie jednak Stanisław Estreicher, profesor UJ i jeden z „mózgów” Stronnictwa Prawicy Narodowej, rozwijał myśl, że „konserwatyzm nie musi być równoznaczny ze stagnacją, tym mniej z reakcją. Winien uznawać, że zmiany w życiu społecznym są nie tylko pożądane, ale nawet konieczne. Powinien sam dążyć do reform”²² pod warunkiem wszakże, że będą to reformy dojrzałe i realizowane w sposób ewolucyjny. W szczególności rozsądny konserwatyzm nie będzie w obronie dawnych przywilejów przeciwstawiał się reformom, których potrzeba społeczna jest odczuwalna. Ten model konserwatyzmu, który stanowi o jego żywotności w Anglii, nie jest sprzeczny — w przekonaniu Konstantego Grzybowskiego — z pojęciem postępu, jakkolwiek zakłada jego ograniczenia²³. Konserwatyzm „angielski” łączy bowiem tradycję z poszanowaniem praw jednostki, z liberalizmem politycznym i gospodarczym.

Pomiędzy wyniesionymi z mieszczańskiego środowiska i z dystansu wobec magnacko-szlacheckiej mentalności poglądami St. Estreichera — a afirmacją feudalnej przeszłości, idealizacją dnia nie wczorajszego nawet, ale przedwczorajszego, jest znaczna rozpiętość. Nie była ona jedyna. Wystarczy zestawić afirmację przez „żubrów wileńskich” zamachu stanu J. Piłsudskiego jako akcji prowadzącej do likwidacji ustroju parlamentarnego i zdobyczy socjalnych pierwszych lat II Rzeczypospolitej z negatywnym początkowo stosunkiem do przewrotu konserwatystów galicyjskich przywiązanych do zasad burżuazyjnego konstytucjonalizmu²⁴. Również te różnice stanowią o klimacie pamiętników W. Meysztowicza. Cenny to przyczynek do historii mentalności klasy, która odeszła już w przeszłość, ale świadomość której przeżyła jej byt materialny. Dlatego historycy będą nieraz odwoływali się do książki, która zrozumienie tej przeszłości ułatwia.

²² St. Estreicher, *Konserwatyzm*, Kraków 1928 (odb. z „Czasu”) s. 9 n.

²³ K. Grzybowski, „Postępowy” i „wsteczny” (próba wyjaśnienia i systematyki pojęć), „Kultura i Społeczeństwo” 1968, nr 4, s. 17—20.

²⁴ O tym H. Jabłoński, *Konserwatyzm przed przewrotem majowym 1926 r.*, PH 1966, z. 4, s. 627—631 oraz tenże, *Piłsudski a konserwatyści krakowscy (kilka faktów z lat 1926—1927)*, [w:] *Studia historyczne [...] ku czci St. Arnolda*, Warszawa 1965, s. 153 n.